№ 11. Wilno, dnia 5 kwietnia 1925 r. Rok I

GWIAZDKA

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

WIELKA ROCZNICA.

Dnia 4-go kwietnia przypada rocznica słynnej bitwy Racławickiej, w której drogi nasz Naczelnik: Tadeusz Kościuszko na czele nielicznego wojska polskiego, w którem było dwa tysiące włościan uzbrojonych w kosy, pobił Moskali i odebrał od nich 12 armat. W bitwie tej przeważnie odznaczyli się włościanie, zwłaszcza ich dowódcy Stanisław Swistacki i Wojciech Bartos z Rzędowic. Ten ostatni wskoczył na moskiewską armatę i czapką swą zatkał otwór, czyli lufę armatnią. Za czyn ten, otrzymał od Naczelnika Kościuszki, szlachectwo i nazwisko Głowacki. Było to w r. 1794.



EMILJA WĘSŁAWSKA.

Ukarane niedbalstwo.

(Ciąg dalszy).

SCENA IV.

Zosia, Władek i Józio.

Zosia (prostuje się, zakłada nogę na nogę i podnosi głowę zarozumiale). Proszę niech panowie usiądą.—Może herbaty?

Władek. Dziękuję jestem po śniadaniu.

Józio. Ja również.

Zosia (zawsze trochę z góry) A tu w Swirze, czy bywają jakie zabawy, tańce, przedstawienia sceniczne?

Józio. A przecie i dziś będzie.

Władek. Wieczorek deklamacyjny, śpiew chóralny.

Zosia. A to, to już wiem.

Józio. Podczas Świąt Bożego Narodzenia była Żywa Szopka.

Zosia (mrużąc oczy). Ży - wa Szop - ka, ależ to dziecinne

Władek. Przecie i my dorosłymi nie jesteśmy, to i sztuk pisanych dla dorosłych nie możemy grać.

Józio. A pani jakie grywa?

Zosia. O ja gram bardzo wiele rzeczy. W Królewnie Krasawicy, byłam królewną, ślicznie wyszło, publiczność była zachwycona. A w Czerwonym Kapturku.

Władek (przerywając). Już wiemy, była pani babcią.

Zosia (oburzona). Co babcią?

Józio (przerywając). Nie, nie, tylko wilkiem . . . (Obaj z Władkiem wybuchają śmiechem).

Zosia (żywo). Ani wilkiem, ani babcią, tylko . . .

SCENA V.

Ciż i Jaś, a za chwilę z bocznego pokoju wchodzą pp. Krzewska, Mirska i Helena

Jaś (wbiega z listem w ręku). Zaraz panienki przyjdą, Zosiu list do ciebie, od wuja Wolskiego, konie przysłane z Soczyniąt czekają.

Zosia. List do mnie? Cóż to może być? (do Władka i Józia) panowie pozwolą, że przeczytam. (Odchodzi z listem do okna).

Józio (do Władka). Jaka ona zabawna . . .

Władek (do Józia). Udaje dorosłą osobę. (Wchodzą panie).

p Krzewska. Co to za list Zosieńku?

Zosia. Cioteczko, to wuj Wolski, pisze, że Janka i Hela obie niezdrowe, proszą bym do nich przyjechała. Konie wuj przysłał, muszę jechać.

p. Krzewska. Może byś jednak przed tem próbę odbyła, byłabyś pewniejszą.

Zosia. Ach ciociu! proszę być spokojną.

p. Helena. Ale na wieczorku będziesz? nie spóźnisz się?

p. Krzewska. Byłoby mi bardzo przykro, gdybyś nie była, p. Mirska urządzić wam chce przyjemność i po deklamacjach będą tańce.

p. Mirska. Ku uczczeniu wileńskiego gościa.

Zosia (ściskając p. Mirską). Ach jaka pani dobra! Z całą pewnością wrócę w porę, jeszcze zawczasu, by się przygotować do mego występu, wszak do Soczyniąt tylko dwa kilometry. Do widzenia ciotuś, do widzenia paniom, bądź zdrów Jasiu. Adiu panom, (dyga i wybiega).

p. Krzewska. No a my tu Jasiu sprzątniemy ze stołu i jak tylko panienki przyjdą zrobimy próbę.

Władek i Józio. Może pani nam pozwoli, my to z Jasiem zrobimy (Sprzątają ze stołu, wynoszą szklanki, talerze).

p. Mirska. A ja żegnam kochanych państwa, do zobaczenia na zabawie (wychodzi).

Zasłona spada.

ODSŁONA III-cia. SCENA I-sza.

Duża sala szkolna urządzona do przedstawienia. Na ścianach obrazy różnej treści, na głównej portret Kościuszki, przybrany zielenią.

Pani Krzewska, p. Helena, p. Mirska, Cesia, Józia, Mania, Władek, Józio i Jaś.

p. Krzewska. Siódma dochodzi, czas zacząć, a dotąd Zosi niema. Strasznie mi przykro.

p. Mirska. Ona zaraz się zjawi, poczekamy cierpliwie.

Władek do Józia. Ta wileńska panna, może nam każe czekać do nocy.

Cesia do Mani. Wiesz' tak się boję czy mi się uda, najbardziej wstydzę się mówić przy p. Zosi, ona podobno tak ślicznie deklamuje

p. Helena (do p. Krzewskiej). Możeby już zacząć, Zosia tymczasem nadejdzie.

p. Krzewska. Doskonale. Zaczynaj Władziu.

(Władzio idzie naprzód sceny kłania się i mówi):

— *Bitwa Racławicka, wiersz Marji Konopnickiej.*

W Racławickiem polu,
Świecą ranne rosy,
Migają się w jasnem słonku
Kosynierskie kosy.

Migają się kosy,
Nikt nie liczy wroga,
—Choć go będzie sto tysięcy,
Pójdziem w imię Boga!

Święconą szablicą
Pan Kościuszko skinął.
Jako orzeł w dwoje skrzydeł,
Wojsko swe rozwinął.

Na tem jednem skrzydle,
Parskają koniki,
Tam generał Madaliński
Sprawuje swe szyki.

Na tem drugiem skrzydle,
Pan Zajączek stoi.
Tam się błyszczą chorągiewki
Miga słonko w zbroi.

Runęli na Moskwę
Jeden raz i drugi.
Nakryło się pole trupem,
Krwi spłynęły strugi.

Widzi pan Kościuszko
Te nieszczęsne boje,
Tak zakrzyknie:—Dalej za mną,
Kosyniery moje!



Bitwa pod Racławicami.

Runęli na Moskwę,
Jak burzy nawała,
Odparły ich kartaczami
Te moskiewskie działa.

I z pośrodka skrzydeł
Jak orzeł się wzbija,
A lud za nim z wielkim krzykiem:
— Jezus i Marya! —

Pędzi pan Kościuszko,
Za nim wiara cała,
Nakryły się ogniem, dymem
Te grające działa. —

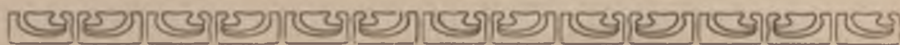
Aż wódz z dymów krzyknie:
— Ejże, moje chwaty!
Który tam z was gardziel zatka
Moskiewskiej harmaty?

Wnet skoczy na wały
Zuch Bartosz Głowacki,
Gołą ręką brać te działa,
A z nim Stach Świstacki.

Przelękła się Moskwa
Tak wielkiego męstwa,
Otrębuje odwrót sobie,
A nam pieśń zwycięstwa!

Po skończeniu deklamacji Władek kłania się publiczności, wszyscy klaskają i wołają: — Ślicznie, ślicznie! dziękujemy!

d. n.



WANDA NIEDZIAŁKOWSKA-DOBACZEWSKA.

Zaczarowany Kraj.

Tadzik i Hania siedzieli na dużej otomanie i bawili się, że jadą „na początek świata, gdzie Dziadulka chata“. Jeździli tak codzień, o szarej godzinie, a droga to była daleka i pełna przygód niezwykłych. Z początku jechało się bryczką, przez długie, polne drogi, potem przez łąki i przez lasy.

Po drodze spotykało się dziwozwierza i dziwoptaki, czarownice i krasnoludki. Jedne pomagały, drugie przeszkadzały. Trzeba były przesiadać się na zaczarowany samochodzik, co go wróżka Hani na imieniny podarowała, bo samochodzikiem łatwiej było uciec od dziwotworów.

Wreszcie przyjeżdżało się nad morze, gdzie już czekał okręt, zwany „Karmelt“.

Dlaczego tak, a nie inaczej? nie wiem. Tak zdecydował Tadzik. Tym okrętem płynęło się aż do Kraju Dziadulka.

Ale co się robiło u Dziadulka?

Dzieci nie wiedziały, bo do tego miejsca nie dobrały się jakoś nigdy.

Dzisiaj jazda była wyjątkowo urozmaicona i wszystko szło bardzo dobrze, gdy naraz Tadzik postanowił, że trzeba pójść do salonu.

— Posadzka w salonie będzie morzem, powiedział, a mała kanapka „Karmeltem“, dobrze Haniu?

Hania rozejrzała się dokoła?

— Kiedy już ciemno, Tadziczku, a ty światła w salonie zapalić nie potrafisz. I jeszcze co stłuczemy.

— Nic nie stłuczemy, bo siądziemy odrazu na „Karmelt“. Nie potrzebujemy włazić z nogami, obejdziemy się dziś bez rekinów. Jeszcze nie zupełnie ciemno.

Poszli po schodach cichutko, żeby kto z dorosłych nie zauważył, bo do salonu niewolno było chodzić samym, a jeszcze do tego pociemku.

Siedli obok siebie na małej kanapce i Tadzik zaczął opowiadać:

— Więc wtedy, oni siedli na okręt i pojechali. I płyną. A po morzu chodzą fale, takie ogromne, grzywiaste — pieniste. Uważaj, Haniu.

— Ja uważam, tylko tam w kącie coś się rusza.

— Gdzie?

— Za fortepjanem. Oj, Tadziczku!

Tadzik spojrzał: za fortepjanem coś świeciło, niby mała gwiazdeczka. Chybotało się i migało błękitne światełko, podniosło się w górę i nagle popłynęło ku dzieciom. Wyglądało, jakby ogromne, świecące wielkanocne jajko. Przypłynęło i pękło, ale bez żadnego huku.

Ze środka wyskoczył chłopczyk, tego samego wzrostu co Tadzik, ale ubrany, jak prawdziwy królewicz.

Miał nawet koronę na złocistych loczkach i śliczną szpadkę przy boku, o rękojeści brylantami wysadzanej.

Dzieci tak się ździwiły, że nawet uciekać nie probowały, tylko patrzyły szeroko otwartemi oczyma na niezwykłego gościa.

Chłopczyk uśmiechnął się przyjaźnie.

— I cóż się tak patrzycie?

Tadzik pierwszy zdobył się na odwagę:

— Nie wiemy wcale kto jesteś?

— To się rozumie. Nie chodzę tak na codzień po waszym zwyczajnym świecie. Przybywam prościutko z Bajki, jestem królewiczem Zaczarowanego Kraju.

— A gdzie to jest? zapytała Hania.

— Wszędzie. Tu w tym pokoju także. Wszędzie, jak

ziemia długa i szeroka obok zwyczajnego jest świat drugi, niewidzialny, zwany pospolicie Bajką. W pierwszym, mieszkają ludzie, w drugim, krasnoludki, wróżki, czarodzieje i t. d. i t. p. Zwierzęta i rośliny mogą przebywać i tu i tam, jak wolą, a co do ludzi—rozmaicie bywa. Dorośli dostają się do nas tylko wyjątkowo, dzieciom częściej się to zdarza. A i nam łatwiej jest daleko dziecku się pokazać! No, czy mnie rozumiecie?

— Tak Trochę. A pocoś tu przyszedł? Zabawić się z nami?

— I tak i nie. Posłuchajcie mnie. Tu, w tym salonie, według świata Bajki jest rzeczywiście brzeg morski, a u brzegu stoi mój ulubiony okręcik. Skąd wyście się dowiedzieli że on się nazywa Karmelt? Kto wam to powiedział?

c. d. n.

ANNA LEWICKA.

Walka o gniazdo.

(Dokończenie).

— Opuść nie twoje gniazdo!

— Nie opuszczę — zawołał zuchwalec.

— Wyrzucę cię z niego — wołał gniewnie właściciel.

— Sprobój! Mam dziób i nogi silne i nie puszczę cię.

Surowo spojrzały na wydziercę wszystkie bociany, a było ich teraz oprócz niego ośmioro Stanęły na dachu poważnie ze wszystkich dziobów ozwał się jednobrzmiący klekot:

— Wyrzuć go!

Poczem wszystkie zaczęły niespokojnie podlatywać i krążyć — widocznie szykowały się do pomocy.

— Sam sobie dam radę—rzekł właściciel gniazda.

Bociany uspokoiły się, postawały na szczytach dachów chaty i stodoły—a z chat powychodzili ludzie, stanęli kołem, a wśród tego otoczenia stanęli naprzeciw siebie dwaj zapaśnicy. Jeden zaciekły, wzburzony — a drugi surowy, poważny.

To się zbliżali ku sobie, to uderzali w siebie dziobami, to znowu bili skrzydłami, to zwierali z sobą w zapamiętałej walce, to się rozdzielali, rozlatywali i znowu zwierali, aż zmęczeni musieli na chwilę przestać boju — jak średniowieczni rycerze w turniejach, co przestawali walki na chwilę, aby nowych sił nabrać. Tak ich zaszło południe.

Stary bocian z drugiego gniazda klekotał

— Przerwijcie walkę — zjeść coś musimy, bo i my głodni i wam sił zbraknie.

I całą gromadą polecieli na moczary, tam odpoczywali i żywili się, ale wszyscy trzymali się zdaleka od nieprawego mieszkańca gniazda.

Opinia bocianów była przeciw niemu.

Siła miała rozstrzygnąć.

Po przerwie w walce, po posiłku i odpoczynku znowu całe bocianie towarzystwo stanęło na dachach obok gniazd i walka zaczęła się na nowo jeszcze zaciętsza, jeszcze zażartsza.

Bywały chwile, że słabnącemu, prawemu właścicielowi gniazda chciał, któryś podbiec z pomocą, ale zapaśnicy zwarci ze sobą, bijący zapamiętale dziobami i skrzydłami nie dopuszczali nikogo do tego pojedynku. I bili się dalej otoczeni nieruchomym gronem poważnych towarzyszy.

Razy padały coraz gęściej, coraz częściej rozlatywały się wydzierane pióra to z jednego, to z drugiego ptaka. Walczący podlatywali coraz ciężej, coraz mniejsze zataczali kręgi, aż w końcu jeden z nich stoczył się z dachu.

Był to nieprawy mieszkaniec gniazda.

Sprawiedliwości stało się zadość.

Z siedmiu dziobów podniósł się głośny, radosny klekot — zwycięzca tylko milczał, a idąc wolno, poważnie stanął dumnie na odzyskanem gnieździe, żona podleciała trochę w górę potem zwolna opuściła się na strzechę i z radością stanęła obok męża, który chociaż podziobany, pokrwawiony,—z ciężko opadającem skrzydłem, czuł się szczęśliwy, że odpędził napastnika, co chciał im zabrać rodzinne gniazdo.

KONIEC.